SŁOWAk

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 12, STYCZEŃ 2020

Drodzy Czytelnicy,

Rozpoczyna się nowy rok, a ja mogę z czystym sumieniem przyznać, że te dwa lata wypełnione były twórczością na najwyższym poziomie. Cieszę się bardzo, że udało nam się stworzyć społeczność, która chce dzielić się swoimi refleksjami i inspirować innych czy to pomysłami, czy zapałem do pracy. Bardzo dziękuję każdemu, kto przyczynił się do rozwoju czasopisma SŁOWAk. Chciałabym przytoczyć słowa Ursuli K. Le Guin, współczesnej autorki powieści fantasy, która trafnie zauważa: *Czytamy książki, by odkryć, kim jesteśmy. To, co inni ludzie robią, myślą i czują jest bezcennym przewodnikiem w zrozumieniu, kim jesteśmy i kim możemy się stać*. Chciałabym, aby ten nadchodzący rok był dla Was źródłem inspiracji nie tylko w dziedzinie literatury, ale również pod względem odkrywania swojego powołania.

Marta Banaś

W najnowszym, dwunastym numerze w dziale **poezja** możecie przeczytać wiersze Karoliny Kisiel opisujące emocje związane z miłością do drugiej osoby. Z kolei Jakub Paczula ukazuje obraz tajemniczej postaci opłakującej bliską jej osobę. Warto również wspomnieć o wyjątkowej dla tego styczniowego wydania *Trylogii Ravalskiej*, którą tworzy intrygujący wiersz Tomasza Pyrcika oraz opowiadania Kacpra Łukowicza i Julii Kurzydlak. Utwory te inspirowane były zagadkową dzielnicą w Barcelonie zwaną El Raval.

W dziale **proza** warto zapoznać się z kontynuacją opowiadania *Konwalia* Marii Smorczewskiej, a także z tekstem Espantajo przedstawiającym tragiczną historię pewnej rodziny z chorzowskiej Cwajki.

W tym numerze znajduje się również sprawozdanie Marii Smorczewskiej ze spotkania autorskiego z absolwentką Słowaka, pisarką, Martą Matyszczak. Natomiast Marta Banaś w artykule zatytułowanym *Krzemienieckie refleksje* dzieli się swoimi spostrzeżeniami z wyjazdu na Ukrainę, gdzie uczestniczyła w projekcie *Dialog Dwóch Kultur młodych Polaków i Ukraińców*. Jeżeli chcecie poznać wspomnienia i przemyślenia Kasi Kluby - absolwentki 2019 - związane z naszą Szkołą, to zachęcamy do przeczytania jej artykułu.

Dla tych, którzy kochają podróże, polecamy tekst Julianny Stachaczyk ukazujący bajkowy, a zarazem tajemniczy obraz Indii.

Życzymy wielu wrażeń!

Redakcja

Projekt okładki: Maria Smorczewska
Zespół redakcyjny:
Redaktor naczelna: Marta Banaś
Zastępca redaktora: Kacper Łukowicz
Opiekun redakcji: Damian Straszak
Korekta: Jolanta Czeczota
Dziennikarze: Anna Kern, Agata Maćkowska, Maria Smorczewska, Tomasz Pyrcik, Radosław Mosór
Fotografie: Julianna Stachaczyk, Hiszpański w Słowaku
Grafika: Maria Smorczewska, Anna Ślusarczyk

Spis treści

Poezja

Karolina Kisiel
Wiesz, co boli najbardziej? (str. 5)
Win(n)a (str. 5)

Jakub Paczula
Ofelio lub Anno (str. 6)

Tomasz Pyrcik
BARcelona Suburbia (str. 7)

Proza

Maria Smorczewska
Konwalia, część III (str. 9)

Kacper Łukowicz
Skaza (str. 11)

Julia Kurzydlak
El Raval późną porą (str. 14)

Espantajo
Niebajki Cwajki (str. 16)

Reportaż

Maria Smorczewska
„Galeria spełnionych marzeń" z Panią Martą Matyszczak, absolwentką Słowaka (str. 20)

Varia

Marta Banaś
Krzemienieckie refleksje (str. 22)

Katarzyna Kluba
Siła Fatalna, która odmieniła Kasię, pozostawiając ją sobą... (str. 26)

Julianna Stachaczyk
Szkolna wyprawa do Indii, część II (str. 28)

POEZJA

Karolina Kisiel

Wiesz, co boli najbardziej?

Zakochać się w pogodnej duszy
Która kiedyś się rozkruszy
Pokaże pazury, wystawi kły
Nawiedzi wszystkie Twoje sny
Wyrzuci w twarz wspomnienie
Które miało pójść w zapomnienie
Wybije całą nadzieję
Przywróci beznadzieję
Ucieknie w siną dal
Odbierze cały uczucia dar
Lecz to nie dystans boli, nie czas
Wiesz co boli najbardziej?
Zakochać się w pogodnej duszy
Która maskę kłamstwem zagłuszy
Wydawało się, że kochała
Lecz tak naprawdę tylko grała
W Szekspira sztuce tragicznej
Na początku tak bardzo magicznej
Lecz tylko samotne cienie
Pozostaną na tej scenie

Bo dusza ta iluzją była
I dlatego się rozkruszyła

Win(n)a

Wina niebiańsko aksamitna
Na stole dębowym stała
Czerwono-bordowa, wspaniała
W smaku zapewne wykwintna
Szklany kieliszek a obok butelka
Nie zmarnuje się ani kropelka
Strach, smutek, gorycz
Katusze dopełnią, rany otworzą
Zniknie cała fałszywa słodycz
Bóle w ciemności się zmorzą
Kwaskowy posmak w gardle stanie
I zadrapie serca obolałe komory
Ono bić jednak nie przestanie
Bić będzie dla tej paskudnej zmory
Zimny kieliszek między palcami pęknie
Wina wypłynie w koszmaru odmętach
Cóż za aromat, cóż za smak
Ustom mym czegoś było doprawdy brak
Krew spływa, sączy się, krzepnie
A oko od tego ślepnie
Wina aksamitna w butelce zaklęta
Ból, rozpacz i miłość przeklęta

Jakub Paczula

Ofelio lub Anno

Niemożliwe kochanie, niemożliwa śmierć
Niemożliwe spanie i niemożliwy płacz
A ty nie gadaj, jeno w grobie się wierć
Nie patrz na twarze, nie myśl kto zacz

Pachniesz jak chusteczki nasiąknięte
Smutkiem czy innym seksualnym odorem
Perfumujesz swoje zasługi nietknięte
Spalasz je tytoniem i lekkim wodorem

A oni płaczą nad twym nagim ciałem
Roznegliżowanymi myślami i ubiorem
Kuse życie, świeczka zgaszona chorałem
Uśpili czujność tym świeckim korem

Kopidołem jestem i znam twe ścięgna
Grabię sobie tudzież dęby wycinam
Teraz martwa, a nadal taka piękna
Każdego mężczyznę stąd wyklinam

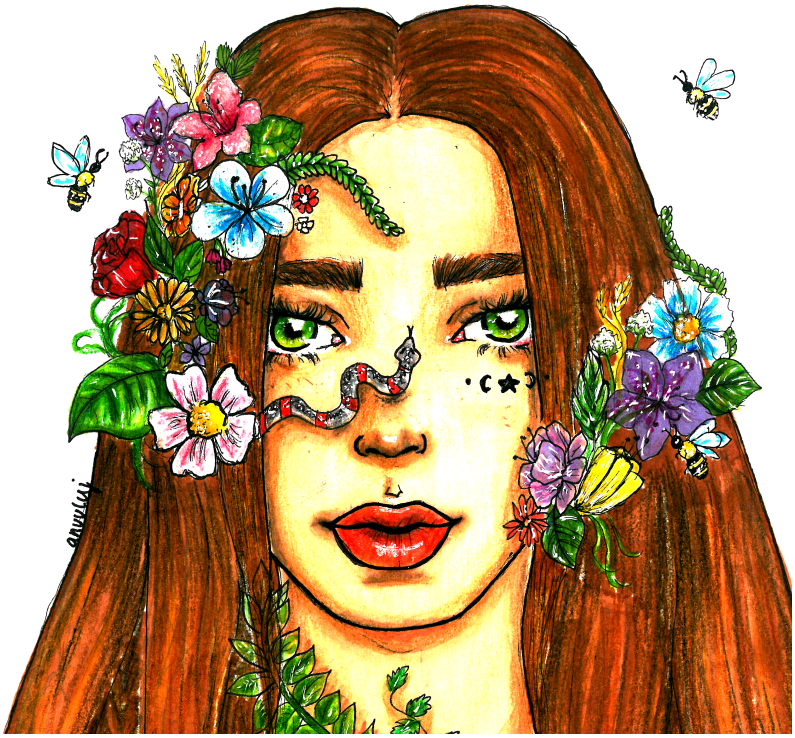

BARcelona Suburbia

Wylało się światło widząc bezeceństwo
I pochowała nadzieja gdzieś w drzew koronach
Gdzieniegdzie prześwit jak błogosławieństwo
Pomoże zagubionym w tych świata stronach

Tu pośród skromnych i skromnie ubranych
Doznasz dawek szczęścia skrzętnie porcjowanych
I ludzi pracy, pogodnych i żyjących w zgodzie
Wszak pogoda nie musi być dobra
A słońce nie jest już w modzie

Bliskie spotkania także są w cenie
Choć nieraz stanowią spore zaskoczenie
W muzycznym porywie i nocnym pośpiechu
Przemierzając dzielnicę autentyczną w grzechu

Jak stary sufit w stanie rozkładu
Lub chciwy sprzedawca niekryjący jadu
Każdy tu w Ravalu* ma się znakomicie
Chyba że uprzednio nagle straci życie

* El Raval - dzielnica Barcelony ciesząca się nienajlepszą sławą.

PROZA

Konwalia

część III

Maria Smorczewska

1 stycznia 2022, dwa lata później

Odgłosy sztucznych ogni słychać było od strony plaży. Głuche uderzenia, bardziej wyczuwalne dla nerwów niż słuchu. Wszystkie zwierzaki rodzice zamknęli w domu. Kot, pies, papuga. Koliberki wypuściła mama, utrzymując, że same wyfrunęły przez okno szopy, kiedy Konwalia nie patrzyła. Potem usłyszała, jak opowiada tacie, że Konwalia jest za mała, żeby zajmować się takimi zwierzętami i że na wolności będzie im lepiej. Nie wie, że ten gatunek nie jest w stanie przeżyć na wyspie (ostatnie osobniki zostały w zoo i parku przyrodniczych atrakcji w stolicy), a Emerald i Stacy zapewne leżą już gdzieś martwe.

To nie był powód, dla którego Konwalia uciekła na plażę wbrew zakazowi rodziców, którzy wyjątkowo postanowili spędzić wspólnie Sylwestrowy wieczór. Nie, Konwalia miała dosyć kłamstw. Tak silnie jak wstrząsnęło nią zniknięcie ptaszków, tak bardzo była świadoma tego, że gdzieś za światem, jaki pokazują jej rodzice, kryje się coś większego, cięższego do zniesienia.

- Nad czym tak myślisz? – zapytał Hobi, który przyszedł tu razem z nią. Nakrzyczała na niego, ale tak naprawdę miała wielką ochotę go uściskać.

- Wiesz, że jeśli po nas przyjdą powiesz, że cię zmusiłam? Wzięłam cię na spacer za dom, potem uciekłam, a ty po prostu chciałeś mnie szukać.

- Nie o to pytałem – dodał cicho, jakby nie obchodził go wiatr rzucający w nich bryzą z oceanu. Miał bluzę, Konwalia aksamitną bluzeczkę i jego kurtkę z dwukolorowym zamkiem.

- O niczym nie myślę – podniósł jedną brew. – To nie są moje myśli, ktoś wrzuca mi do głowy obrazy i dźwięki. Pokiwał głową, a Konwalia znowu zobaczyła w nim twarz sprzedawcy miniaturek świątyni pod kaplicą. Czasami Hobi wydaje się starszy, doświadczony, jakby widział rzeczy, których ona nie umie sobie nawet wyobrazić, ale potem wracała twarz chłopca, jakby nie mógł się zdecydować czy być już dorosłym, czy jeszcze dzieckiem.

- Ja też chyba tak mam, nie widzę nic innego, tylko drobną dziewczynkę wymykającą się z domu przez okno. Z laptopem! Jak to zrobiłaś?

Uśmiechnęła się. Uznanie Hobiego, mimo że przyjmowała je zawsze z nutką zaczepności, zawsze było dla niej bardzo ważne. Był trochę starszy, wiedział dużo o zwierzętach i komputerach, a do tego, z jakiegoś powodu, lubiła go bardziej niż inne dzieci.

- Mam swoje sposoby. Nie martw się, kiedyś cię nauczę. – Hobi prychnął, ale zaśmiał się.

- Po coś go tu przyniosłam. Uda ci się włączyć film?

- Już to zrobiłem, jesteś pewna? To może być najgorsze, co kiedykolwiek zobaczymy, będzie nam się śniło…

- Tak, jestem pewna. Mogę to zrobić sama.
Hobi prychnął i przewrócił oczami, ale posłusznie otworzył laptopa i puścił film.

Niewiele było widać, ale doskonale wiedzieli, co się na nim znajduje. Łódź przechyla się bardzo powoli, zbyt powoli. Konwalia przewinęła film. W kolejnym kadrze ludzie siedzą na burcie statku, ich stopy dotykają wody. Skaczą, chwytają się szalup, kolejne przewinięcie. Dwie dziewczyny przytulają się, jedna obejmuje drugą trzymając się resztkami sił. Nagle jedna znika pod wodą. Konwalia wiedziała, kim są. Pokazywali je w każdej telewizji, znaleźli ich imiona, pochodzenie. Tylko, że przez siedem godzin (bo tyle trwało oryginalne nagranie) nikt nie zdołał ich wyciągnąć. Konwalia wiedziała, że nikt nawet nie próbował. Zamknęła laptopa i wrzuciła go do skrzynki, w której na co dzień razem z Hobim chowają swoje skarby.

Puściła się biegiem, a za nią ruszył Hobi, który już teraz tylko udawał, że nie nadąża, bo jego długie nogi z łatwością by ją wyprzedziły. Dopadła pontonu, wciągnęła na siebie kamizelkę i brodząc w wodzie, odbiła od brzegu. Chłopiec wiedział, że jej nie zatrzyma, tylko dlatego wsiadł do łódki. Silnik zawył i pędząc pod wiatr, ruszyli w kierunku zatoki, w której dziś w nocy zapewne zjawiłaby się jej mama, gdyby jej córka nie zaginęła kilka godzin temu.

To Hobi zatrzymał łódkę, kiedy zaraz przed nimi z wody wyrosły metalowe sieci. Konwalia wysunęła się na dziób na tyle, na ile tylko pozwalała jej metalowa drabinka i dziękowała za morską bryzę, która kamuflowała płynące łzy.

Dwa wielkie statki w oddali były już do połowy zanurzone w wodzie. Ogień na jednym z nich stworzył różową łunę nad zatoką. Jej światło mieszało się z barwami sztucznych ogni z drugiej strony półwyspu. Kilka mniejszych łódek otaczało statki, a jeśli ktoś miałby się przyjrzeć zobaczyłby małe punkciki wpadające co jakiś czas do wody. Czyjeś córki, mamy, bracia. Idris i Yasmin, tak miały na imię. Szesnaście i siedemnaście lat. Hobi chwycił ją za obie ręce i odciągnął od barierki. Nawet nie zauważyła, że się wychyla. Nie ukrywał, że płacze, miał czerwony nos, usta i policzki.

Stali tak oboje, trzęsąc się, dopóki dwie policyjne łodzie nie dobiły do ich pontonu. Czyjeś ręce ostrożnie wciągały ich na pokład, uspokajając i okrywając kocami. Zapłakane mamy na zmianę to krzyczały, to płakały, tuląc dzieci. Konwalia spojrzała na zegarek. Czuła się drętwo, zimno.

Siedemnaście minut. Tyle trwało, żeby łodzie zaprowadziły ich z powrotem na brzeg.

Skaza

Kacper Łukowicz

Dog carcass in alley this morning, tire tread on burst stomach.
This city is afraid of me. I have seen its true face.
The streets are extended gutters and the gutters are full of blood.
And when the drains finally scab over, all the vermin will drown.

Watchmen, Alan Moore

Widzę to miasto. Miasto świecące blichtrem i spełnieniem. Gigantyczny diament z większą od niego samego skazą. Barcelona – miasto Gaudiego, skrywające w sobie demony. Potężny biznesmen z igłą ze strzykawki w żyle. Imię igły brzmi El Raval – dzielnica brudu, smrodu i rozpaczy.

Gdy do niej wchodzę, całą okolicę spowija cień. Po lewej banda ćpunów, zdechły pies, plama krwi i graffiti, po prawej – dzieci biegające za piłką.

Widzę zakrwawionego *yonqui*[1] , który pewnie wciąga dzieciaki w swój nałóg i osobliwe, namalowane niedbale czarną farbą graffiti, które przyciąga mój wzrok – „Lo peor está por venir" – „Najtrudniej jest przyjść".
To prawda.
Zmarnowałem kilka godzin, stojąc w uliczce prowadzącej do piekła.

Dzień jak co dzień. Któryś z dzieciaków pewnie jest dealerem. Jest ich czwórka. Każdy wygląda na młodszego niż piętnaście lat. Najstarszy pewnie trzyma w kieszeni nóż, a najmłodszy pistolet, bo pewnie łatwiej się nim bronić. Każdy wygląda, jakby kiedyś już się upił, a przynajmniej palił papierosa.

Widzę jak swoim łapczywym wzrokiem spogląda na najstarszego na oko dwudziestoletnia kobieta. Ma długie, kręcone włosy, uwaloną białą bluzkę i skąpą spódniczkę, przez którą widać jej połowę tyłka.

Młodzieniec chyba dostrzega jej pożądanie, (a jeśli nie to, to na pewno tyłek), więc podchodzi do kobiety pewnym krokiem, łapie ją w talii i zaczyna z nią tańczyć.

Nie potrzebuje więcej zachęty. Kobieta zaczyna prowadzić w tym niepokojąco erotycznym tańcu. Przysysa się do niego, po czym w miłosnym uścisku prowadzi go w rytmie milczącego tanga do swojego pokoju rozpusty znajdującego się w jednym z *narcopisos*[2].

Słyszę to miasto. Ekstatyczne krzyki kobiety i przekleństwa jego zirytowanych kolegów. Słyszę głośne wystrzały, odgłos policyjnej syreny w miejscu, w którym nie jest potrzebna i odgłos oddawania moczu.

Wchodzę do baru. Obskurnego. Pasującego do okolicy. Zmatowiałe lustro, kilka drewnia-

nych stolików i banda napakowanych dryblasów. Czuję woń tego miasta. Podły zapach potu wymieszany z alkoholem i papierosowym dymem. Chcę stać się tym miastem. Zrozumieć tę degrengoladę od środka. Zamawiam wódkę.
- Nie jesteś stąd – mówi barman, więc pytam się go, skąd wie. Odpowiada, że to przez koszulę, którą mam na sobie. Ma krótkie rękawy, więc z łatwością widzi brak wkłuć na moich rękach.
Poza tym zamówiłem wódkę. Nikt tutaj nie zamawia wódki. Wódka ma za mało procent i nie upadla tak, jak może to zrobić absynt albo ichniejszy rum.

Zaczynam pić. Czuję smak tego miasta. Kieliszek za kieliszkiem, popijając każdy łykiem wody z pełnego kamienia kranu.

Z oddali przygląda mi się ta banda napakowanych dryblasów, którą dojrzałem przy wejściu. Jest ich trzech, każdy ma brodę i nóż. Wpatrują się w moje nagie ręce. Widzą, że nie jestem jednym z nich.
- Trzeba stąd uciekać – pomyślałby każdy normalny, ale nie... Ja nie z tych. Ja nie uciekam. Prędzej wstałbym i przywalił każdemu w nos. Biłbym ich po nosach, aż przypominałyby te czerwone kulki, które noszą klauni.
Baliby się mnie, bo może tego nie widzą, ale ja wiem kim jestem. Teraz jestem bogiem. Panem sytuacji. Super-bohaterem z nadludzką, zesłaną przez kosmos mocą. Super-szybki. Super-silny. Super-przystojny. Zanim im przywalę, pokłonią mi się, żeby chociaż dotknąć tej mojej super-pięści nosem.

Wstaję.
Idę się odlać.

Otwieram drewniane drzwi łazienki, która wygląda, jakby była wyrwana z cywilizowanego miejsca. Porcelanowe pisuary, śliczna, biała glazura i czyste jak łza lustro.
Patrzę w to lustro i widzę w nim swoją twarz. Zbyt czystą. Zbyt gładką. Niepokrytą żadną blizną... Żadną skazą...

Słyszę odgłos zamykanych drzwi. Obracam się. Za mną trójka muskularnych mężczyzn, która przyglądała mi się od wejścia. Jestem błędem w matrixie. Nie chcą mnie tutaj. Nie pasuję tu.

Pierwszy z nich krzyczy coś po hiszpańsku i chwyta mnie za rękę. Próbuję mu się wyrwać, ale moje super-moce nagle mnie opuszczają. Od drugiego dostaję piąchą w splot słoneczny. Wreszcie tak naprawdę czuję to miasto. Moja twarz ląduje w porcelanowym zlewie, który od razu zostaje rozbity. Z zewnątrz pre-

zentował się całkiem nieźle. Był jednak pusty w środku.

Leżę na posadzce. Opieram się o wyłożoną glazurą ścianę. Poobijany, rozbity, zravalowany. Na ziemi biało-czerwona mozaika złożona z krwi, zębów i odłamków zlewu.
Moja twarz wreszcie tu pasuje.

Banda dryblasów wychodzi, a ja zamykam oczy i zasypiam.Przypominam sobie, jak w ogóle trafiłem na Raval. Nie jestem żadnym super-bohaterem. Jestem nikim. Everymanem, którego znudziło proste życie zwykłego człowieka. Pałętam się po tym labiryncie, z którego nie potrafię wyjść i marzę. Próbuję coś poczuć, od kiedy moje życie straciło sens.

Wreszcie czuję.
Wodę.
Zimną.
Dostaję w twarz kubłem lodowatej wody od barmana, który właśnie kończy robotę. Chwyta mnie za fraki, przenosi przez łazienkę i bar, a wreszcie wyrzuca tam, gdzie teraz będzie moje miejsce.
Ląduję w rynsztoku.

Jest noc, choć księżyc świeci nie gorzej niż słońce. Jego światło jest całkiem przyjemne. Łagodzi moje rany, zupełnie jakbym był wilkołakiem wychodzącym na żer.

Podchodzi do mnie ten trzynastoletni *chaval*[3], który jakiś czas temu zabawiał się z kobietą.
- Pomóc panu? – pyta po hiszpańsku. Nie odpowiadam. Wszystko mnie boli. Rynsztok napełnia się krwią, którą rano wysuszy słońce.
Chłopiec jednak chce pomóc. Nie... On nie z tych, którzy porzucają ludzi w potrzebie. Ona potrzebowała mężczyzny – był więc mężczyzną. Ja potrzebuję lekarza – będzie więc lekarzem.

Wyciąga z kieszeni strzykawkę, a po chwili ściąga swój pasek, którym od razu przewiązuje mi rękę. Widzę błysk igły, która w końcu trafia w moją żyłę.To morfina.
Wreszcie staję się tym miastem.

Gdy tak leżę w zakrwawionym rynsztoku, moje oczy lgną do osobliwego, niedbałego graffiti, które lekko oświetla uliczna lampa. „Lo peor está por venir" – namalowane czarną farbą.
To nieprawda.
Trudniej jest stąd wyjść.

Widzę, że jakiś mężczyzna wchodzi na El Raval.
Pewnie mu się nudzi.

---

[1] hiszp. ćpun
[2] Mieszkania w El Raval słynące z nielegalnych interesów, głównie handlu narkotykami.
[3] hiszp. chłopak

El Raval późną porą

Julia Kurzydlak

Godzina - późna. Najprawdopodobniej zbyt późna, żeby wpisywać w GPSa adres baru na El Raval. Nie ma specjalnej bramy czy znaku “Spisz testament” przed wejściem na El Raval. W końcu to średniowieczna dzielnica, część Ciutat Vella. Do lat 90. XX wieku policja niechętnie się tu pojawiała. Pewnie nie było powodu.

Mijamy romański klasztor Sant Pau del Camp. Nie ma turystów. No ale po co mieliby być? Pod gotyckim szpitalem może mogliby być, ale nie ma. W średniowieczu zsyłali tu trędowatych z miasta, więc pewnie wtedy też ich nie było. Mamy pierwszy cel - Bar Marsella.

Do baru Marsella przychodzili Picasso, Dalí, Orwell, Hemingway, Gaudi i uczniowie Słowaka. Ściany pamiętają Hemingwaya i tych pozostałych. Sufit też pamięta, trochę się łuszczy na nim farba, ale pamięta. Pewnie mówili jakieś ciekawe rzeczy, ale śpiewać musieli nie najlepiej. Na ścianie napis: “Zakaz śpiewania”. Śmiejemy się, bo przecież zabawny taki napis. Inni goście się nie śmieją, sprawa śpiewania musi być poważna. Trzeba wybrać nowy cel - usłyszeć flamenco. Trochę się łudzę, że ktoś będzie grać na ulicy, ale nie słyszę, żeby grał. Ulica - mieszanka. Z okna spojrzenie Pakistańczyka w turbanie. Kino - plakaty filmów Kieślowskiego. Czyli on też tutaj. Po drugiej stronie ktoś właśnie odwiedza inne światy, dzięki temu co tę umiejętność daje. Nie wiadomo, co akurat jemu dało, wybór zapewne był szeroki. Jego kolega już zwiedził, teraz odpoczywa w pozycji horyzontalnej.

Ludzie - uśmiechnięci szeroko lub mniej. Ubrani bardziej lub mniej. Pracują, może woleliby, wolałyby inaczej. Ale pracują. Są drzwi, jest plakat, jest flamenco, jest właściciel. Pytamy czy trzeba rezerwować miejsca. Śmieje się, wyczuwamy ograniczone zaufanie. Nie wydajemy się sensownymi klientami i zapewne nimi nie jesteśmy.

Godzina - bardzo późna. Taka w sam raz, żeby usłyszeć flamenco. Ale nie, jeszcze nie teraz. Teraz grają jazz. Gitarzysta zagrał już wiele koncertów. Bardzo wiele. Jest

podpięty do tlenu. Publiczność - bardzo różna. Każdy dzięki tej muzyce czuje coś innego. Jedni potrzebę kłótni. Inni miłość. Inni radość po każdym solo. Krzyczą, gwiżdżą, żeby muzycy mieli pewność, że to było dobre. Gitary pachną podobnie jak te ściany. Trochę starością, trochę muzyką. Stary gitarzysta ma zmarszczki i jego gitara też je ma. Jest zrobiona specjalnie dla niego. Tak powiedział i podał mi, żebym spróbowała, jak dobrze brzmi. Nie mogę zaprzeczyć, bo przecież w tej atmosferze wszystko brzmi pięknie.

Po jazzie ma być flamenco. Próbują czy dobrze brzmi. Gitarzyście nie zabrzmi dobrze jeszcze przez czterdzieści minut, ale kiedy już zabrzmi, to zabrzmi wszystkim, co prawdziwe i piękne. Głos trochę rozdarty będzie brzmiał opowieścią. Wokalista będzie miał zamknięte oczy, bo jest teraz gdzie indziej. Wszyscy jesteśmy gdzie indziej, a jednak dalej w tej samej piwnicy wypełnionej po same brzegi muzyką. I nagle El Raval pachnie zupełnie inaczej niż wcześniej. I chyba najbardziej pachnie zdumieniem, że coś tak prostego może brzmieć tak bardzo. I na samo wspomnienie brzmieć w nas jeszcze bardzo długo.

Więcej na kanale YT: Hiszpański w Słowaku.

Niebajki Cwajki

Espantajo

Dziewczyna idzie odwiedzić ojca. W tej części Chorzowa niczym się nie wyróżnia. Ma na sobie niebieską bluzę z kapturem, ale nikt na nią nie woła ,,niebieski Kapturek ani ,,Smerfetka", bo cała ta dzielnica jest dość smerfna, a najwięcej w niej Zgrywusów, Ważniaków, Osiłków, Gargameli i pseudoartystów bazgrzących po murach krzywe szubienice, pod którymi wiszą trzy litery.

Mirek poza tą czternastoletnią ma jeszcze dwie młodsze córki. Nie mieszkają razem. Dzieci są pod opieką matki. Mirek nie pracuje, za dużo pije, a miejsce, w którym mieszka, trudno nazwać przytulnym i rodzinnym. Mężczyzna niemal codziennie wystaje w bramie budynku przy ulicy Krzyżowej. Trudno powiedzieć, że stoi. Rzadko jest w stanie ustać na nogach - nie tylko z powodu zbyt wielu promili we krwi. Jest chory, męczy go miażdżyca nóg, więc często zamiast stać, siedzi w drzwiach lub bramie kamienicy oparty o brudne, pozbawione tynku mury. Nie przeszkadza mu, że na te same ściany jego koledzy załatwiają swoje potrzeby. Jego ubranie świetnie komponuje się z nędznym, plugawym krajobrazem.

Tego dnia córka nie widzi Mirka w bramie. Jest wczesna wiosna, na dworze jeszcze zimno, w dodatku pada - niby to deszcz, niby to śnieg. Nieprzyjemnie jest, a w dodatku już zmierzcha. Wchodzi na klatkę schodową i zastanawia się, co tak cuchnie. Możliwe, żeby mieszanka odchodów ludzkich, zwierzęcych i wilgoci wydzielały taki smród? Nie wie, bo jeszcze wiedzieć nie może, bo jeszcze nikt nie wie, a wszyscy w okolicy dowiedzą się dopiero latem przyszłego roku, że taki zapach wydziela rozkładające się ciało. Sąsiad Mirka - ten z trzeciego piętra - wziął umarł i zaczął się rozkładać. Nikogo nie dziwiło jego zniknięcie, nie pierwszy raz zniknął. Samotny człowiek, bez przyjaciół i rodziny. Może chciał przeczekać do lata, więc włamał się gdzieś i czekał na policję. Wiadomo, co ukraść i jak, żeby dostać kilkumiesięczną odsiadkę. Niejeden dzięki temu przeżył zimę z zapewnionym wiktem, opierunkiem i kocem w ciepłej celi. Niektórzy zdziwią się za rok i kilka miesięcy, kiedy policja znajdzie w *ajncli*[1] na trzecim piętrze szkielet sąsiada.

Dziewczyna zasłania usta i nos rękawem bluzy. Ma nadzieję, że dzięki temu nie będzie czuła odoru klatki schodowej. Trochę pomogło. Wspina się po starych drewnianych schodach wspartych o metalowe konstrukcje, na których widać jeszcze napisy „Königshütte". Nie łapie się za poręcz, woli nie ryzykować spotkania dłoni z niemiłą niespodzianką. Na pierwszym półpiętrze mija mężczyznę siedzącego na parapecie i tępo wpatrującego się w drzwi ubikacji. Obok niego na podłodze stoi pusta plastikowa butelka, taka jak po oleju roślinnym, z żółtą nakrętką, ale dziewczyna doskonale wie, że ta butelka miała zupełnie inną zawartość. Znajomy obrazek: na „Cwajce"

można kupić „tetrę” - alkohol bez akcyzy - po którym ludzie padają jak muchy. Zapewnia odlot, dlatego mówi się też o nim F16. Odlot... Z tego świata, z rzeczywistości. Ma moc.

Córka Mirka mija odlatującego osobnika, przyspiesza kroku. Ciemno dość, bo na pierwszym piętrze ktoś ukradł żarówkę. Kiedy jest w połowie drogi między półpiętrem i pierwszym *sztokiem*[2], słyszy: ,,Panjenko, panjenka się nie gniewa. Pinćdziesiąt groszy na bułkę”. Dziewczyna zarzuca kaptur na głowę i mówi bardziej do siebie niż nieznajomego: „Nie gniewam się” ...i zaczyna biec. Jeszcze kilka kroków! Już jest: drugie piętro, drzwi po lewej... Brudne, dawniej białe, z ułamaną klamką i dziurą - śladem po kopnięciu zostawionym przez niezadowolonego, nieproszonego i wyproszonego gościa. Łapie za pozostałości klamki. Nie puka, nie musi. Wydaje się jej, że słyszy rozmowę, więc uchyla drzwi. Przez szczelinę widzi pogrążone w dymie pomieszczenie. W nozdrza uderza zapach stęchlizny zmieszany z dymem tytoniowym, wymiocinami i uryną. Jeszcze bardziej zaciska materiał bluzy na ustach i nosie. Wchodzi. Pokój oświetla słaba żarówka - może po prostu jest brudna, dlatego daje tak mało światła. Podchodzi do łóżka, na którym leży ojciec, opierając głowę o sinoróżową ścianę pomalowaną we wzorki jeszcze w poprzedniej epoce, o której dziewczyna wie niewiele. Obok niego na taborecie siedzi jakiś nieznany człowiek. Ma brzydkie tatuaże na dłoniach - jakby mu się tusz rozmazał - i kilka wytatuowanych kropek pod lewym okiem. Na kartonie po bananach imitującym stolik ustawione są trzy słoiki: dwa małe po musztardzie służą za szklanki, jeden, duży, to popielniczka. Na podłodze stoją dwie plastikowe butelki, takie jak po oleju rzepakowym, z żółtymi nakrętkami. Jedna z nich jest już pusta, w drugiej jest jeszcze połowa zawartości. Czternastolatka stoi tak przez chwilę niezauważona, jakby niewidzialną była. Rozgląda się po pokoju i zastanawia się, co tak śmierdzi, a ten smród dochodzi spod łóżka albo i zza niego. Spogląda w stronę okna. Pod nim na podłodze stoi metalowe wiadro wypełnione fekaliami. Odwraca wzrok, jakby to pomóc mogło i wymazać ten obrzydliwy widok i zapach z pamięci. Nie pomaga, ciągle śmierdzi. Obcy siedzący na taborecie ocknął się i ze zdumieniem zaczął się wpatrywać w dużą, białą literę R na niebieskiej bluzie. „Legła, legła Warszawa” - zaczyna mruczeć pod nosem. Wtedy oczy otwiera Mirek i samo już jego spojrzenie pyta: „Co ona tu robi”. Ona już nie oczami, ale ustami pyta ojca, co to za facet i dlaczego znowu...

Kilka tygodni wcześniej Mirek wrócił z detoksu. Nawet mieszkał przez kilka dni z rodziną, ale tylko do pierwszej butelki. Teraz pytanie córki wywołuje w nim wyrzuty sumienia. Drżącym, zachrypniętym głosem zaczyna tłumaczyć, że świętują, bo kolegę wczoraj wypuścili. Tak, tak, siedział. Za co? No za zabójstwo, ale on nie chciał, to tak z głupoty było, przez przypadek, poza tym już był po kilku głębszych. Jak to ,,przez przypadek”? Kilkanaście lat temu poszedł do baru na Stabika na piwo i pokłócił się z kolegą o głupstwo jakieś. Nie wytrzymał: jak siedział z kuflem w ręce, tak mu tym kuflem przywalił... No, ze łba nie było co zbierać. Ale tak ogólnie to dobry człowiek jest. Z oczu dobrze mu patrzy. Przyszedł się przywitać na bogato, to świętują.

Dziewczyna chciałaby pomóc, ale nie wie jak. Nie ma siły. Kłuje ją w żołądku, a ból ten

z bólów najszkaradniejszych, bo to ból niemocy. Niedobrze jej. Chociaż już nie czuje smrodu, chce się jej wymiotować.

Wychodzi na klatkę schodową i zbiega do wyjścia, żeby jak najszybciej móc złapać kilka łyków świeżego powietrza. Nie odpowiada na zaczepki mężczyzny z parapetu. Wybiega na ulicę i stara się głęboko oddychać.

Świat wcale nie wiruje, wszystko stoi w miejscu. Czuć tylko, że znowu ktoś pali w piecu plastikowymi butelkami. Dziewczyna podnosi głowę i patrzy w okna mieszkania na drugim piętrze. Jest nieświadoma tego, że to było jej ostatnie spotkanie z ojcem. Już go więcej nie zobaczy.

Za kilka dni Mirek będzie bez kolegów, bez córek, bez żony, bez sił. W samotności wypełznie z łóżka. Przy piecu znajdzie sznurek, którym kiedyś wiązał worek z węglem. Zawiąże na nim pętlę. I Mirek zostanie bez życia, i już nie będzie Mirka. Jego ciało znajdą nazajutrz. Nikt płakać nie będzie, bo „i tak lekarze chcieli mu nogi uciąć, a już swoje przeżył". Tylko żona powie: „Tak, to on. Proszę zapisać, że zidentyfikowałam męża".

---

[1] kawalerka

[2] piętro

REPORTAŻ

„Galeria spełnionych marzeń” z Panią Martą Matyszczak, absolwentką Słowaka

Maria Smorczewska

Dwudziestego drugiego listopada 2019 roku mieliśmy okazję uczestniczyć w niezwykłym spotkaniu z Panią Martą Matyszczak, autorką serii „Kryminał pod psem”. Było to już 57. wydarzenie organizowane przez klub POKOLENIE w ramach cyklu „Galeria spełnionych marzeń”, tym razem prowadzone przez Pana Krzysztofa Knasa, redaktora naczelnego magazynu „Chorzów. Miasto Kultury”.

Bohaterem tego spotkania była absolwentka naszego liceum Pani Marta Matyszczak, autorka kryminałów, dziennikarka[1] , prowadząca portalu poświęconego literaturze kryminalnej[2]. Jest również właścicielką niestety zmarłego już Gucia, bohatera wszystkich części jej powieści, zachowanego na zawsze wśród książkowych kart i jego godnego następcy: Gacka.

Podczas spotkania mogliśmy dowiedzieć się m.in. o pracy literackiej autorki, książkowych premierach[3] aktywności dziennikarskiej i internetowej w „Kawiarence Kryminalnej”, a także o inspiracjach do pisania, zamiłowania do twórczości Agaty Christie, Aliny Chmielewskiej oraz Kate Atkinson. Pani Marta Matyszczak zdradziła nam również tajniki swojego warsztatu pisarskiego i niezwykłej umiejętności przelewania uczuć i wydarzeń z prawdziwego życia na papier.

Z mojej perspektywy najbardziej interesująca była okazja do porozmawiania z doświadczoną autorką o trudnościach i wyzwaniach czekających wszystkich początkujących pisarzy: współpraca z wydawnictwem, samodyscyplina, zdobywanie nowych umiejętności potrzebnych w tworzeniu literatury kryminalnej. Autorka podzieliła się także swoim cennym doświadczeniem, dotykając kwestii bardzo ważnych dla przyszłych młodych pisarzy i publicystów: jak nie dać się „sprzedać” oraz jak być asertywnym i pozostać sobą we własnej twórczości.

Jako redakcja SŁOWAka jeszcze raz dziękujemy i gratulujemy Pani Marcie, a wszystkim uczniom, szczególnie tym zafascynowanym literaturą, polecamy uczestnictwo w podobnych wydarzeniach i zachęcamy do lektury „Kryminałów pod psem”.

---

[1] Jej felietony można znaleźć w magazynie „Chorzów. Miasto Kultury”.

[2] www.kawiarenkakryminalna.pl

[3] Premiera tomu 7. "Wypocznij i zgiń" 12 lutego 2020.

VARIA

Krzemienieckie refleksje

Marta Banaś

Dlaczego podróżujemy? Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie jest złożona i wymaga pewnej analizy nas samych, zastanowienia się nad tym, do czego dążymy i jakimi środkami pragniemy osiągnąć cel. Myśląc o podróżach, wyobraźnia nasuwa nam obrazy długich, czasem nawet ekstremalnych wypraw. Pragniemy odkrywać nieznane lądy, poznawać nowe smaki i nawiązywać przyjaźnie.

Jako dziecko wraz z rodzicami wakacje spędzałam na południowym - wschodzie Polski, gdzie piękne górzyste tereny Beskidu Niskiego i bezkresne pola pokryte wielobarwnymi kwiatami kształtowały moją dziecięcą tożsamość. To były cudowne miejsca: Rymanów Zdrój, Iwonicz Zdrój, a także mniejsze wioski, często jeszcze z chatami, które pamiętały pierwszych gospodarzy Łemków, z których zostali na zawsze wysiedleni. Ta wschodniosłowiańska grupa etniczna niezmiernie dotkliwie odczuła skutki przeprowadzanej na tych terenach przez Ludowe Państwo pacyfikacyjnej akcji „Wisła". W latach 1945-1947 Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o ostatecznym rozprawieniu się z Ukraińską Powstańczą Armią i odcięciu oddziałów UPA od naturalnego zaplecza. Przyjmuje się, iż wysiedlenia objęły około 140 tysięcy osób cywilnych w wielu przypadkach niesłusznie posądzonych o współpracę z wrogimi siłami PRL. Komunistyczni działacze nie widzieli żadnej różnicy między Ukraińcami i Łemkami. Ze względu na fakt, że obie nacje były wschodniego wyznania, utożsamiano je ze sobą. Tym samym przez działania ukraińskich band ucierpieli niewinni ludzie, a historia ich powikłanych losów do dzisiaj jest przekazywana przez ocalałych potomków.
Wspomnienia tamtych dramatycznych chwil odnajdujemy wielokrotnie w poezji autorów pochodzących właśnie z tamtych ziem:
Świat mój jest mały/ jak podwórko wiejskie/ żuraw przed chatą/ okno jaskółek pełne/ korzeni szukam pradziadów/ co oplatają trzewia ziemi/ z ciężkim oddechem serca/ z niemym łoskotem kamieni/ Świat mój jest mały/ mniejszy od liścia klonu/ i choć minęły lata/ wciąż szukam własnego domu ("Świat mój" Władysław Graban).

Tak więc – wskutek dramatycznego biegu historii – magiczna przestrzeń, kraina łagodności i spokoju przemieniła się w pole walk i miejsce ludzkich cierpień. Brzemię przeszłości niewątpliwie jest odczuwalne wśród mieszkańców tego regionu, lecz tych tragicznych wydarzeń nie można wymazać z pamięci, stanowią one integralną część naszej współczesnej historii, którą poznałam w czasie wakacyjnych wypraw.

Kiedy zaczęłam uczęszczać do gimnazjum, rozpoczęły się również moje wyjazdy z klasą na Zachód – pierwsza w kolejności była wytworna, pełna intrygujących tradycji Anglia; później miałam okazję zachwycać się turkusowym oceanem i złotym, aksamitnym

hiszpańskim piaskiem. Wszystkie te miejsca zostawiły niezatarte ślady w mojej pamięci. We wrześniu 2018 roku zdecydowałam się wziąć udział w „Dialogu Dwóch Kultur młodych Polaków i Ukraińców" organizowanym przez Uiwersyteckie I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Chorzowie. Podróż ta w pewien sposób zmieniła mój sposób myślenia o otaczającym nas świecie i realiach życia naszych sąsiadów. Ukraina – państwo pełne ciekawych ludzi, różnorodnych tradycji, wielobarwnych miejsc i tragicznych historycznych konfrontacji. Ta literacka podróżnicza przygoda na Wschód okazała się dla mnie wyjątkowym i nieprzemijającym wspomnieniem oraz niezwykle cennym doświadczeniem. Wszystko to wydarzyło się w ciągu dziesięciu dni spędzonych na Ukrainie.

Granicę polsko–ukraińską przekroczyliśmy wczesnym rankiem, kiedy to naszym zaspanym oczom ukazało się wschodzące słońce znad tajemniczego horyzontu. Wszyscy uczestnicy spodziewali się długich godzin spędzonych w autokarze, wyczekując pozwolenia na wjazd do kraju, lecz ku naszemu zaskoczeniu procedura przebiegła niezwykle sprawnie i bez jakichkolwiek przeszkód.

Pierwszym celem literackiego wyjazdu była mała miejscowość usytuowana niedaleko Lwowa – Rudki, a dokładniej znajdujący się w niej Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, gdzie w krypcie znajduje się sarkofag Aleksandra Fredry. Ta niewielka, ale jakże malownicza miejscowość odegrała ważną rolę w życiu pisarza. Tutaj spędził znaczną część swojego dzieciństwa. Rodzice Fredry, Jacek i Marianna do pobliskiego dworu w Beńkowej Wiszni przeprowadzili się, gdy przyszły komediopisarz miał zaledwie cztery lata. Co ciekawe, Aleksander nigdy nie uczęszczał do szkół publicznych, ponieważ był kształcony przez wynajmowanych guwernerów. Traumatyczna śmierć matki skłoniła Fredrę do opuszczenia rodzinnej miejscowości i poszukiwania swego miejsca w świecie. Jednakże poeta po napoleońskich wojażach powrócił do Rudek, do miejsca tak bardzo szczególnego w jego sercu. Tutaj doczekał kresu swoich dni, a po śmierci w 1876 roku jego zabalsamowane zwłoki spoczęły w rudeckiej świątyni, której krypta z biegiem lat przeistoczyła się w swego rodzaju panteon szlacheckiego rodu Fredrów. Ksiądz Jerzy Wasyłenko, sprawujący pieczę nad tym niezwykłym miejscem, przedstawił uczestnikom wyjazdu krótką historię parafii, zwracając szczególną uwagę na intrygujący sekret zniknięcia ikony Matki Boskiej w 1922 roku. Według legendy w 1612 roku ikona została odratowana przez Jerzego na Goraju Curyłło ze spalonej przez Tatarów cerkwi na Podolu. Curryło postanowił zabrać ze sobą w dalszą podróż cenne dzieło. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu, przejeżdżając przez Rudki, konie ciągnące wóz nie chciały ruszyć dalej, a Curyłło uznał, iż wolą samego Boga jest pozostawienie obrazu w miasteczku. Ofiarował go więc miejscowemu kościołowi (jeszcze drewnianemu), a ocalony z pożogi wizerunek Matki Boskiej wkrótce zaczął słynąć cudami, czczony zarówno przez katolików jak i prawosławnych, a następnie grekokatolików. W 1921 roku biskup przemyski, Józef Pelczar koronował ikonę Matki Bożej Rudeckiej, niestety na wiosnę 1946 roku świątynia musiała zostać zamknięta i zamieniona na hurtownię spożywczą oraz weterynaryjną aptekę. Słynący cudami obraz sekretnie wywieziono do seminarium

rzymsko – katolickiego w Przemyślu, a wizerunek Matki Boskiej doczekał się ponownej koronacji i został przekazany kościołowi w Jasieniu (w pobliżu Ustrzyk Dolnych) w celu utworzenia ośrodka maryjnego w Bieszczadach. Intronizacji przewodniczył kardynał Karol Wojtyła. Pojawia się zatem pytanie, dlaczego ikona owiana jest tajemniczą zagadką? Aby poznać odpowiedź, musimy przenieść się w czasie do 1922 roku, kiedy to w nocy z 7 na 8 lipca cudowny obraz został skradziony. Do dzisiaj ten słynący cudami wizerunek Matki Boskiej nie został odnaleziony, a w kościele w Rudkach możemy podziwiać jedynie jego kopię.

Wizyta w Rudkach była dla mnie ogromnym przeżyciem, tym bardziej, iż miejsce to przywołało w mej pamięci jeszcze jedno wspomnienie z dzieciństwa związane również z postacią Aleksandra Fredry. Mam na myśli Zamek Kamieniec w Korczynie – Ogrodzieńcu znajdujący się nieopodal miejsca, gdzie wspólnie z rodzicami i bratem spędzałam wakacje. Za namową mojego taty, który jest z wykształcenia polonistą, postanowiliśmy zobaczyć zachowane do dnia dzisiejszego ruiny budowli, należącej onegdaj do samego Aleksandra Fredry. Co ciekawe, ruiny zamku były inspiracją do napisania jednej z najważniejszych polskich komedii XIX wieku "Zemsty". Autor, przeglądając archiwalia swego majątku, natrafił na akta procesowe właścicieli zamku z pierwszej połowy XVII wieku, z których wynikało, że Piotr Firlej i Jan Skotnicki toczyli ze sobą wieloletni spór, któremu kres położył dopiero ślub zawarty w 1630 r. przez wojewodę Mikołaja Firleja z kasztelanką Zofią Skotnicką. Dzięki tym informacjom napisany utwór możemy czytać po dziś dzień i stanowi on ważny element kształtowania naszej tożsamości narodowej. Szkoda, że lwowski pomnik znalazł się na wrocławskim rynku. Dla wielu uczestników wyjazdu, młodzieży niemającej na co dzień styczności z historią kościołów w Europie Wschodniej, wizyta w Rudkach była niezapomnianym przeżyciem i na trwałe zapadła w ich pamięci.

Zasadniczym celem naszej literackiej podróży był Krzemieniec, mała ojczyzna Juliusza Słowackiego, patrona naszej szkoły. Wizytę w tym miasteczku rozpoczęliśmy od złożenia kwiatów na grobie jego ukochanej matki, o której tak często wspominał w swoich listach. Ważnym miejscem w historii Krzemieńca jest Liceum Krzemienieckie, gdzie wykładał ojciec Juliusza, Euzebiusz. Byliśmy bardzo szczęśliwi, a zarazem dumni z danej nam możliwości reprezentowania szkoły w tak szanowanym i kultowym miejscu. Gospodarze, Rektor i studenci Akademii Humanistyczno-Pedagogiczna w Krzemieńcu zorganizowali dla nas koncert tradycyjnej muzyki ukraińskiej w wykonaniu akademickiego zespołu.

Przez kilka dni mieliśmy okazję wędrować śladami Juliusza m.in. zdobyliśmy górę św. Bony, zwiedziliśmy dawne Liceum Krzemienieckie czy pozostawiliśmy nasz ślad w ogrodzie botanicznym. Zasadziliśmy krzewy białych i czerwonych róż oraz cebulki żółtych i niebieskich tulipanów, które wzbogacają od 20 lat założone przez nas „Rosarium Juliusza”.

Bez wątpienia głównym, niepisanym celem wyjazdu było zapoznanie się z kulturą dawnych Kresów. Mieszkałam wraz z koleżankami

w prywatnych domach zaprzyjaźnionych rodzin ukraińskich. Gospodarze od zawsze byli związani z Polską i czuli się jej częścią, dlatego dzięki ich gościnności pobyt u nich był wyjątkowym doświadczeniem. Podczas wspólnie spożywanych posiłków przygotowywanych z domowych upraw, dowiedziałyśmy się, że produkty dostarczane do lokalnych sklepów są bardzo słabej jakości i mogłyby mieć zły wpływ na nasze zdrowie. Codziennie piłyśmy świeżo gotowany kompot z jabłek, co utwierdziło nas w przekonaniu, że ten ogromny, zadbany sad widziany z naszych przestronnych okien jest nie tylko baśniową ozdobą, ale również ważną częścią życia codziennego. Już pierwszego wieczoru byłyśmy ogromnie zaskoczone, kiedy na kolację podano pyszny barszcz ukraiński, który smakiem zdecydowanie różnił się od tej samej zupy w wydaniu polskim. Wreszcie poznałam autentyczny ukraiński smak.

Przyglądając się codzienności, zauważyłam jak istotną rolę odgrywa muzyka. W pokoju stało piękne, czarne pianino, przy którym codziennie ćwiczył kompozycje muzyczne syn naszych gospodarzy. Ich życie wypełnione było śpiewem i czułam, że jest to czynnik scalający całą rodzinę. Podczas rozmów okazję usłyszeć brzmienie pięknego języka ukraińskiego, który dzięki swojej dźwięczności idealnie wkomponowuje się w tradycyjne pieśni tego narodu. Nasz gospodarz Sergiusz dzielił się z nami niezwykłymi historiami i refleksjami, dzięki czemu mogłyśmy poznać go bliżej, aż stał się naszym przyjacielem, a wielu uczestników potwierdziło moje zdanie, iż ludność zamieszkująca Ukrainę jest bardzo życzliwym i gościnnym społeczeństwem, otwartym na nowych ludzi, na niesienie pomocy drugiemu człowiekowi.

Wracając, zatrzymaliśmy się we Lwowie, ale opowieść o tym magicznym mieście to temat na następną pracę ...

Siła Fatalna, która odmieniła Kasię, pozostawiając ją sobą...

Katarzyna Kluba

Dziewiątego września 2016 roku po raz pierwszy przekroczyłam mury Słowaka jako uczennica. Początki nie były proste - będąc „ekstrawertycznym introwertykiem", bałam się dosłownie każdej osoby w tej Szkole. Od osób z mojej klasy, przez panie woźne, pana Dudusia, aż po Nauczycieli. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak dużą rolę te osoby odegrają w moim życiu. Moja nieśmiałość wynikała ze zmiany otoczenia, która zawsze silnie na mnie oddziaływała. Uczucie niepewności towarzyszy mi odkąd pamiętam. W przedszkolu przez pierwsze pół roku mojej edukacji nie wchodziłam w żadne interakcje z rówieśnikami. W podstawówce i gimnazjum bałam się każdej nowej osoby. Zaaklimatyzowanie się w nowym miejscu sporo mnie kosztowało, bałam się odpowiadać na forum klasy czy uczestniczyć w czymkolwiek, bardziej niż jako bierny obserwator.

Przyszłam do Słowaka pełna obaw, bo mimo że byłam bardzo otwarta na nowych ludzi, to nie byłam przekonana czy oni są otwarci na mnie. Przez miesiąc chodziłam po korytarzach na sztywnych nogach, z pochmurną miną i bałam się jakiejkolwiek interakcji z nowymi osobami. Czyli standard. Przez blisko trzydzieści dni uchodziłam u Nauczycieli za grzeczną i cichą dziewczynkę z warkoczykami. Ale po tym czasie czar prysł, wyszło szydło z worka, a osoby obcujące ze mną dostały nauczkę, że pozory mylą. I to jak!

Nie wiem, kto przeżył większy szok – nasi Nauczyciele, którzy na początku nabrali się na moje niewinne spojrzenie, czy nasza Pani Wychowawczyni, która co tydzień na lekcji wychowawczej rozpoczynała na nowo tworzenie Świata (bo zawsze „Na początku był chaos..." prowokowany moim gadulstwem i donośnymi wybuchami śmiechu).

Ale jak to się stało? Zaledwie miesiąc i taka zmiana? Długo nad tym rozmyślałam i spośród atutów naszej Szkoły takich jak wysokie wyniki matur, wspaniałe wycieczki, masowa produkcja olimpijczyków... dostrzegłam coś, co bardzo mało osób zauważa uczęszczając tutaj. Ludzie zaakceptowali to, jaka jestem - po prostu.

Nauczyciele, pracownicy administracji i uczniowie zaczęli mnie poznawać od drugiej strony. Nie narzekali, że za dużo się śmieję, za dużo gadam, zbyt głośno mówię... że biegam jak poparzona po korytarzu... że nie da się ze mną porozmawiać, idąc przez szkołę, bo moja paplanina to wieczny chaos przeplatany witaniem się z kolejno mijanymi osobami... wróć! Na pewno na mnie narzekali, lecz nie było to dla nich wyznacznikiem. Nie oceniali mnie po moich głupich pomysłach. Jedyne co ja mogłam robić, to być dla nich autentyczna, prawdziwa. Zawsze powtarzałam, że mogą na mnie liczyć i (o zgrozo!) wiele osób to robiło. Oczywiście, pojawiała się krytyka z ich strony,

ale jest ona częścią naszego kształtowania się i jeśli ktoś był ze mną szczery, oznaczało, że mogę na tę osobę liczyć. Zawsze.

Szybko doszłam do wniosku, że da się być fajnym będąc sobą (o czym wielu młodych ludzi zapomina) i da się sprawić, aby szkoła była dla ucznia drugim domem, a nauczyciel wzorem i autorytetem, a nie potworem z koszmarów.

Mimo moich niezadowalających wręcz ocen z wielu przedmiotów, Nauczyciele widzieli we mnie coś więcej niż miernego ucznia. Dawali poczucie, że oceny nie są wyznacznikiem mądrości i aby zaskarbić sobie sympatię, nawet u belfrów, wystarczy być po prostu dobrą osobą.

Atmosfera i klimat tej Szkoły pomagały mi odciąć się od problemów gnębiących moją głowę. Zapewniały wytchnienie. Wielu Nauczycieli pomagało mi w trudnych chwilach, nawet kiedy nie byli świadomi jak bardzo ich obecność jest pomocna. Ich cierpliwość do mojej trudności z koncentracją, napadów śmiechu i tzw. biegunki słownej, była bezcenna i dawała mi poczucie zrozumienia.

Uśmiechy wielu osób rozpogadzały mój dzień, słowa wsparcia pomagały przejść wiele burzliwych okresów, a zwykła propozycja pomocy dawała nadzieję, która nie okazała się płonna. Szeroko pojęta tolerancja, która – mam takie wrażenie – w pewnym momencie stała się złotą regułą tej szkoły, była dla mnie dużym ułatwieniem i atutem. Spośród trzech placówek do których uczęszczałam, tylko w tej nie byłam ani razu wyśmiana za mój - odstający od innych nastolatków - sposób bycia.

Opowieści o mojej Szkole, o tym, co mi się w niej przydarzyło, czego mnie nauczyła i jakich ludzi spotkałam, wywołują niemałe zaskoczenie wśród moich znajomych uczęszczających do innych liceów. To zrozumiałe – moja Szkoła lepiej wypada na tle innyc: właśnie w kwestii rodzinnej i ciepłej atmosfery, która wyciągnęła ze mnie to co najlepsze. Nauczyłam się nie bać bycia sobą, wyrażania własnej opinii, okazywania czynami swoich poglądów (które w jakimś stopniu tutaj ukształtowałam) i obycia z ludźmi, bo to właśnie w złapaniu kontaktu z nimi miałam największe problemy .

Na osobiste podziękowania przyjdzie jeszcze czas, natomiast w tym tekście chciałabym oświadczyć, że przysłowiowa „Siła Fatalna” Słowaka zmieniła mnie, jednocześnie pozostawiając sobą i dlatego osoby tworzące to miejsce na zawsze pozostaną w moim sercu.

Szkolna wyprawa do Indii

część II

Julianna Stachaczyk

Jyotiba Temple to hinduistyczna świątynia, która zapadła mi w pamięć poprzez różowy proszek, który był tam dosłownie wszędzie. Kapłani będący w świątyni malowali wiernym twarze, tzw. „tilakę". Ma ona formę kropki w miejscu trzeciego oka na czole, która według ich wiary chroni przed utratą energii. Składając drobną ofiarę pieniężną, można było otrzymać dary świątyni, którymi mogły być kwiaty, kokos, cukier w kryształkach i wiele wiele więcej.

Ajanta i Ellora to dwa kompleksy świątyń na zboczach skalnych. Niesamowite jest w nich to, że zostały wykute w litej skale, w czasach, kiedy ludzie nie mieli pomocnych i ułatwiających pracę nowoczesnych narzędzi czy maszyn. Obie zachwycają dbałością o detale: Świątynie Ajanty są przede wszystkim

zdobione malowidłami ściennymi, w Ellorze fresków jest zdecydowanie mniej, ale wierzy się, że rzeźbiono ją od góry.

Pozostając w temacie świątyń, warto wspomnieć o małej mieścinie Khajuraho, gdzie podróżnicy z różnych stron świata przyjeżdżają podziwiać sceny z Kamasutry. Przyznam szczerze, że można się pogubić w rozróżnieniu poszczególnych świątyń, gdyż jest ich mnóstwo. Z ciekawostek, każdą ze świątyń jak i cały ich kompleks powinno się zwiedzać i obchodzić dookoła zgodnie z ruchem wskazówek zegara (oczywiście boso).